

## 1. WSCHÓD SŁOŃCA

*Wschodni blasku w różowości spowity  
Delikatnie rozstawiasz swe światła  
Dotykasz mych jasnych błękitów  
Łaskawie rozpraszasz czernie.  
Złota jasności świata  
Złóż pocałunek na mej czerwieni  
Otul moją jasną skórę  
Pokochaj zieloność źrenic  
Zespół się ze mną w bieli.*

Pospolity, płaski, nudny... Ach! Wiejski krajobraz rysował mi się przed oczyma, gdy tego dnia jechałam na codzienną, poranną Mszę Świętą do kaplicy. Tatusz zawsze ubolewał, że tak daleko mamy do miasta i do wielkiej, gotyckiej katedry, gdzie łatwiej byłoby mu chwalić wspaniałe i wielkie dzieła Pana. Rzadko jednak uczestniczyliśmy w mieście we mszy. Tata nie lubił dalekich podróży, które były dla niego uciążliwe ze względu na bóle stawów i kości, które dokuczały mu podczas jazdy wyboistą, polną drożyną. Nasza drewniana kapliczka, wybudowana z inicjatywy papy, mogła pomieścić tylko najważniejsze osobistości, a reszta – to znaczy chłopska hołota – stała zawsze boso na zewnątrz. Najwięcej zawsze było ich w niedzielę. Zawsze ten sam smętny obraz. Z szacunku dla Boga chłopci i ich parobcy odsłaniali swoje głowy, klękali na gołej ziemi, biadolili i wywracali gałkami ocznymi, spoglądając ku górze, jakby w niebie nad swoimi głowami szukali Boga we własnej osobie. W dłoniach trzymali swoje niechlujne nakrycia głowy lub drobne rączki swoich brudnych, zasmarkanych dzieciątek – ten widok zawsze przyprawiał mnie o mdłości, dlatego wołałam jechać na Mszę w środku tygodnia, gdy wiejskie baby i ich mężowie oraz starsze potomstwo byli zajęci pracą na roli lub w gospodarstwie.

Ta sama od tyłu lat, pokonywana powozem polna droga, wiodąca pośród zielonych łąk i łąków zbóż... a w kwietniu pomiędzy brudnymi, ciemnymi pasami ziemi pól uprawnych, poprzedzielanych miedzami. Jedyne co ratowało ten widok to rosnące gdzieś krzewy i drzewa, które pokryły się świeżą, wiosenną zielenią. Jakże monotonne wydawały mi się te codziennie oglądane obrazki w stosunku do dzieł Renoira i Maneta. Ach! Paryskie malarstwo! Paryska sztuka! Ach! Jakżeby to było cudownie mieszkać tam i żyć jak dama u boku ukochanego mężczyzny, który dzieliłby ze mną jedno łóżko, podziwiał kunszt mojego malarstwa i sprzedawał moje obrazy, a wieczorem...

– Co u licha! – krzyknął mój tata, gdy powóz niebezpiecznie zatrząsł się i nagle przechylił w jego stronę. Na szczęście zareagował szybko – uciekł w moim kierunku, aby utrzymać pojazd w równowadze. O mały włos a nasz powozik przewróciłby się całkowicie! Estera i Joanna, moje dwie piękne, starsze siostry, pisnęły przestraszone. Po chwili jedna po drugiej zaczęły wysiadać przy pomocy naszego woźnicy na polną drogę.

– Och! Nie pchaj się tak, Ester! – fuknęła najstarsza z nas trzech, Joanna. Płochliwa Esterka chciała jak najszybciej wydostać się z potencjalnej pułapki. Kilka razy już miałyśmy nieprzyjemną sytuację na tej drodze. Raz powóz stracił koło i przewrócił się tak, że moja młodsza siostra rozbiła sobie łuk brwiowy. Później musiał go zszywać nasz lekarz... Paskudna historia!

Wysłałam z powozu zaraz po moich siostrach. Owionął mnie rześki chłód świeżego, kwietniowego poranka. Omal nie wpadłam wtedy do ogromnego, brudnego bajora, znajdującego się kilka centymetrów od moich jasnych bucików! W oddali na polach jacyś chłopci sadzili ziemniaki. Miałam nadzieję, że żaden z nich nie wpadnie nagle na pomysł, aby nam pomóc. Szczerze mówiąc, wołałam iść na nogach niż oglądać z bliska ich brudne, nagie stopy, czuć odór ich potu i widzieć ich szkaradne twarze spalone słońcem.

Niestety, musiałam mieć dar do przyciążania tego, czego starałam się za wszelką cenę unikać. Dwu ubranych w proste, szare koszule i lniane portki chłopów, wyrosło przede mną niczym spod ziemi. Musieli obrabiać pole z drugiej strony drogi, bo ich nie zauważyłam wcześniej. Albo szli za nami!

– Łaskawy Panie, pomoc? – zapytał niższy z nich, starzec o łysiej głowie. Poczulałam smród czosnku. Zatkaną nos chusteczką i odeszłam na stosowną dla mnie odległość.

- Będzie dobrze, bo inaczej spóźnimy się na nabożeństwo! - odparł ojciec, po czym uniósł wysoko głowę, aby dodać swojej osobie dystynkcji.

Drugi z nich, dobrze zbudowany, wysoki blondyn o włosach niczym strzecha wiejskiej chaty, zerknął na mnie łapczywie. Jego kolega prędko dał mu kuksańca w bok.

- Nie dla psa kielbasa! Nie dla kota *śpyrka*! Bierz się Benek do roboty, bo państwo się spóźnią na Mszę!

- Ja nic nie muszę! - fuknął zarozumiale pod nosem i znów spojrzął na mnie tym samym bezczelnym wzrokiem. Był bardzo brzydki, tylko tyle rzuciło mi się w oczy za tym pierwszym razem, gdy go ujrzałam. I jeszcze ten jego warczący głos, jakby miał za chwilę wszystkich pokąsać.

Siostry cofnęły się za mnie, a on dodał:

- Chyba, że panienka mnie poprosi.

Tego było za wiele! Miałam ochotę przyłożyć mu w ten jego kartoflowaty nos! Lecz kierując się dobrem swojej rodziny, zagryzłam wargi, a później rzekłam nieswoim głosem, dodając do wypowiedzi pewną dozę niesmacznej mi pokory:

- Prosimy... o pomoc.

Młody mężczyzna, który mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia cztery lata, wyszczerzył do mnie swoje żółte zęby przykryte krzywym uśmiechem, co wydało mi się niezwykle obleśne, po czym obydwój ze swoim towarzyszem wzięli się do roboty. Warczący wielkolud złapał belkę pozbawioną koła, naprężył swoje silne ciało i przechylił wóz ku górze, aby niższy chłop mógł prędko założyć koło na swoje miejsce. Mimowolnie poczułam podziw dla siły mięśni tego pierwszego, a gdy jego wydatne mięśnie napięły się w tytanicznym wysiłku, odwróciłam wzrok. Był niczym mityczny Atlas, ratujący świat przed upadkiem! Odrzuciłam natychmiast myśl o tym, że był bardzo męski i parsknęłam do siebie pod nosem, szydząc z własnych myśli. „Męski, też mi coś!”

- Tylko ostrożnie po tych wybojach, panie woźnica! Bo za chwilę znowu *będziem* naprawiać! - rzekł starszy chłop do naszego służącego, po czym wytarł ubrudzone błotem dłonie o swoje i tak już ubłocone portki.

Odetchnęłam z ulgą, gdy w końcu tata zaczął gramolić się do środka powozu. Oznaczało to bowiem, że zaraz znajdziemy się poza zasięgiem tych dwóch intruzów. Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby specjalnie zastawili na nas pułapkę! Czekałam, aż zażądają od nas zapłaty, ale nie stało się nic takiego. To było gorsze niż wszystko to, co mogło mnie spotkać w kontaktach z obcymi chłopami, którzy spoceni i cuchnący czosnkiem, zeszedli prosto z pola od brudnej roboty. Niższy chłop podał rękę mojej najstarszej siostrze Joannie, aby weszła do powozu, a ta z wdzięcznością przyjęła jego pomoc. To samo uczyniła Estera, lecz gdy przyszła moja kolej, zawahałam się czy podejść.

- Ja wejdę sama! - Ruszyłam odważnie przed siebie. Ominęłam chłopów, nie spojrzawszy więcej na ich prostackie twarze, i zaczęłam samodzielnie gramolić się do góry. Pech chciał, że stanęłam na skraju mojej długasnej sukni i przechyliłam się do tyłu. Złapały mnie czyjeś ręce i wepchnęły do powozu.

Obejrzałam się za siebie. Niezadowolona odkryłam, że moim wybawicielem był wyższy z chłopów. Ten o charczącym głosie i patrzący na mnie jak zwierzę chcący zaatakować! Skłonił mi się nisko i słuźalczo, a później zamknął drzwi powoziku. Od razu pomyślałam, że moja błękitna sukienka musiała zostać naznaczona śladami jego utyłanych błotem rąk.

- Z Bogiem Państwu! Niech Pan Bóg zdrowia da! - powiedział obcy młodzieniec.

Spojrzał na mnie spode łba, takim dzikim wzrokiem, aż ciarki po mnie przeszły. Uciekłam od tego spojrzenia. Usiadłam na swoim miejscu z nadętymi dziecinnie ustami. Gdy wyjrzałam przez okno, jeszcze tam stał, choć jego kolega ciągnął go za rękaw.

- Chodźże, tępota jedna! Nie widzisz, że panienka chce, żebyś jej z oczu zniknął!? Weź ty się obudź w końcu! Zawalidrogo!

- Idę, idę... - bąknął, a nasz powóz w końcu ruszył, co było dla mnie wybawieniem.

- Ale bezczelny! - warknęłam pod nosem, oburzona zachowaniem młodego mężczyzny. - Widziałyście, jak się gapił!? I do tego jeszcze mnie dotknął! Pewnie pobrudził mi sukienkę! - Zaczęłam okręcać się na boki, aby dostrzec na mojej kreacji brud, którego niczym nie wybieli nawet najlepsza praczka.

- Wiktorio, ci ludzie też mają prawo przyglądać się! - zganił mnie ojciec surowo. Zawsze był za równością klas, choć niesamowicie skrupulatnie pilnował swojej pozycji społecznej. Od wielu lat sprawował władzę nad rodzinnym, ziemskim majątkiem. - Każdemu Bóg oczy dał.

- Taki, to sobie może tylko popatrzeć! - fuknęła Joanna, zadzierając nosa, a Estera jak zwykle nic nie powiedziała, tylko skinęła grzecznie głową, przyznając jej rację. Biedna Esterka, od śmierci matki, to jest od

piętnastu lat, była bardzo małomówna i tylko grzecznie potakiwała, jakby nie miała swojego zdania. W dodatku była taka lękliwa...

- Pycha przez ciebie mówi, moja córko! - oburzył się tato. - Wstydz się! I zanim do Komunii Świętej przystąpisz, wyspowiadać się dobrze ze swoich grzechów, aby uchronić się od kary boskiej!

Joasia została kompletnie „wgnieciona” słowami ojca w kanapę, na której siedziała. Zrobiła się nagle malutka, mimo swojego aż stusiedemdziesięciocentymetrowego wzrostu.

- Sądziłem, że mam córki skromne i dobrze wychowane w wierze katolickiej, a tym czasem... - westchnął ciężko i spojrzał w sufit, jakby Duch Święty przykleił się do tapicerki naszego powozu. - Będę musiał, Panie, ukrócić te wybryki. - Zastanowił się przez chwilę i potarł swoją siwą brodę, łypiąc na nas swoim błękitnym, przekrwionym okiem. - Dlatego dziś wieczorem nie pojedziecie na spotkanie do Kwiatkowskich.

- Papo! Tak nie można, to niesprawiedliwe! - jęknęłam. Miałam nadzieję, że to tylko tragiczny żart. - Przecież ze szkół powrócił pan Robert Kwiatkowski! Bardzo chciałyśmy go poznać! Nie może nam tego papa zrobić!

- Och, może jestem zbyt surowy... - zmiękł, gdy tylko zobaczył moje błagalne spojrzenie. - Wymyślę coś innego. Ale kara was nie ominie! - Pogroził nam palcem i swoją srogą miną.

- Dziękuję tato! - Ucałowałam go w szorstki policzek, co zmiotło z jego twarzy marsową minę. Potem zaczęłam marzyć o tym, że dzisiejszego wieczora być może spotkam miłość mojego życia. I być może tą miłością będzie sam syn Kwiatkowskich!

Pan Robert od dziecka dużo chorował, rodzice wozili go do uzdrowisk. Raz widziałam go przejazdem, jakieś trzy lata temu. To było przed jego wyjazdem do szkół. Był bardzo zdolnym malarzem i mówili, że i poetą także. Nie było mi dane go poznać osobiście. Jego rodzice uważali, aby podczas pobytu w domu nie spotykał się z sąsiadami, którzy mogliby go zarazić jakąś tutejszą chorobą. Legenda o jego delikatności, mądrości, zdolnościach i urodzie wywoływała w moich myślach romantyczne wizje. Marzyłam o dniu, gdy w końcu go poznam. Jednak od dnia, gdy go widziałam po raz pierwszy jako dorosłego młodzieńca, zaczęły chodzić między moimi sąsiadkami słowa uwielbienia na jego temat, których nieraz słuchałam z zazdrością. Kilka z nich poznało go, rozmawiało z nimi nawet! Byłam pewna, że wzdychają do niego potajemnie i marzą o jego miłości. Jednak pan Robert jeszcze nie zaręczył się z żadną z dam i wyglądało na to, że jego rodzice będą szukali dla niego panny wśród dobrych znajomych, to znaczy tutaj, w naszym elitarnym kole. A to zwiększało moje możliwości i sprawiało, że zaczęłam mieć nadzieję. Bo być może tego wieczora syn Kwiatkowskich to na mnie zwróci uwagę, a nie na te inne panny. I z taką myślą pojechałam do kaplicy, aby pomodlić się o szansę na małżeństwo z panem Robertem.

\*\*\*

Jak cudownie było znów wystroić się w te zwiewne falbany i eleganckie tkaniny, wprost zaczerpnięte z paryskiego żurnala mody. Gdy wysiadałam z powozu, poczułam się niczym księżniczka, która zaraz zostanie powitana w salonie Kwiatkowskich ogromem męskich spojrzeń pełnych podziwu. Mimo iż u mojego boku szła moja śliczna siostra Estery, która była ode mnie o wiele ładniejsza i wyższa, byłam pewna, że prezentuję się równie nienagannie, co ona. Choć był jeden szkopuł, i to od zawsze. Zadbaliśmy o każdy szczegół, a mimo to starannie upięte, kasztanowe loki mojej siostry prezentowały się schludniej niż moje proste, cienkie pasma o pospolitej, ciemnobrązowej tonacji, upięte srebrną spinką.

Lecz tego wieczora to nie ja czy Estera miałyśmy być tą pierwszą pośród kawalerów. Ojciec postawił sobie za zadanie, tego jeszcze wieczora, znaleźć katolickiego męża dla Joanny. Wraz z panem Robertem zjawili się bowiem u Kwiatkowskich pięciu jego kolegów, kawalerów - każdy z nich mógł być szansą dla Joanny, aby mogła w końcu wyjść za mąż. Miała już dwadzieścia siedem lat, więc była starą panną. Niczego jej nie brakowało, choć przyznam, że łaskawy Bóg nie obdarzył jej nadzwyczajną bystrością. Joasia była piękną o jasnych, falujących włosach i jasnobłękitnych oczach, tak jak nasza świętej pamięci matka. Nie lubiła czytać książek czy poezji. Jedyne co umiała, to grać pięknie na fortepianie w naszym saloniku. Jednak, gdy tylko dookoła zjawiali się młodzi mężczyźni, myliła nuty i pąsowała, wstydziała się swoich pomysłów.

Początek przyjęcia jest zawsze towarzysko uciążliwy. Wszyscy witają się, później poznaje się nowych ludzi, czasem spotka się dalszą rodzinę... Lecz gdy ma się do poznania wiele nowych osób na raz, ciężko jest spamiętać te wszystkie imiona i nazwiska, aby potem skojarzyć je z twarzami podczas pierwszej, dłuższej konwersacji. Ja z reguły podczas takich rozmów unikałam wymawiania imienia takiej nowopoznanej osoby. Nigdy nie zapamiętałam wszystkich imion od razu. Co jeszcze jest uciążliwego w tego typu przyjęciach?

Zawsze jakaś panna wygrywa na instrumencie znaną wszystkim melodię i daje popis możliwości swojego głosu. Ja nie potrafiłam śpiewać. Natomiast malowanie było dla mnie drugą częścią mojej istoty. Cała byłam wypełniona kolorami, tonacjami barw, refleksami świetlnymi i akcentami, które stanowiły centra mojej osobowości duchowej i cielesnej. Lecz tym razem miało być całkiem inaczej, jednak nie spodziewałam się, jak bardzo.

Z racji wieku i przysługującego jej pierwszeństwa Joanna weszła do salonu Kwiatkowskich jako pierwsza. Wprowadził ją tam tato, na którego ramieniu spoczywała dłoń jego najstarszej córki. Byłam pewna, że moja siostra zrobi wrażenie na zebranych gościach swoją nieskazitelną urodą. Niestety ja nie miałam tyle szczęścia, nie miałam szans zrobić na zebranych towarzystwie mojego wymarzonego, pierwszego, dobrego wrażenia wizualnego. Zakryta wysokością wzrostu moich sióstr, zdałam sobie sprawę z tego, że tego wieczora będę bardzo samotna.

Powitano nas serdecznie, lecz niewylewnie. To nie my dziś byliśmy najważniejsi, lecz syn gospodarzy i jego koledzy z miasta. O ile państwo Kwiatkowscy nie wywarli na mnie tym razem dobrego wrażenia, inaczej było z ich synem. Pan Robert Kwiatkowski słynął w okolicy ze swojej urody i zamiłowania do sztuki, oraz z tego, że mało kto go znał. Miałam okazję przyrzeć się jego niewątpliwiej urodzie, gdy stanął przede mną twarzą w twarz. Później oglądałam go niepostrzeżenie z daleka, stojąc niepozornie z Esterką u boku, w okolicy kominka.

Pamiętam, jak zbliżył się ku nam ze swoim ojcem. Mnie przedstawiono mu jako ostatnią, nad czym mocno ubolewałam, oczekując na swoją kolej. Najpierw papa, potem 27-letnia Joanna, 21-letnia Estera i na końcu ja: 20-letnia Wiki.

- Pozwól, panie Robercie, to moja najmłodsza córka, Wiktorii - przedstawił mnie tatko.

Robert ujął moją dłoń, pochylił nisko głowę i... tyle! Nawet nie musnął ustami mojej rękawiczki. Ledwie zdołałam nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Po chwili bowiem pan Kwiatkowski zaczął przedstawiać syna nowym gościom, którzy weszli do salonu tuż za nami. I to by było na tyle z moich wielkich marzeń. Lecz serce nie odpuszczało, a moja romantyczna dusza zaczęła krążyć myślami wokół aury tego młodzieńca.

Ach, pan Robert! Jego widok napawał mnie jednym z tych romantycznych uniesień, co to zawiązują supełek w gardle i uwierają w klatce piersiowej, czyniąc twarz ciemnoróżową z nadmiaru zebranych emocji. Co tu dużo mówić, był pięknym młodzieńcem, jedynie o rok starszym ode mnie. Jego bujne, brązowe, lśniące loki, czarne oczy i słodki uśmiech przyprawiały o zawrót głowy. Nigdy nie odważyłabym się podejść do takiego mężczyzny jako pierwsza. Onieśmielał mnie. Lecz damy zebrane tutaj zdawały się otaczać go niczym wianuszek polnych kwiatów - wabiły go słodczą swoich zapachów i melodyjnych głosów, chciały go skusić, aby choć przez chwilę zatrzymał się dłużej swoim uwodzicielskim wzrokiem właśnie na nich. A ja stałam z boku, nawet nie chciało mi się rozmawiać z siostrą. Goście pana Roberta byli zajęci rozmową z innymi panienkami. My dwie jakoś nie zwróciłyśmy na siebie uwagi. Nawet papa nas opuścił i poszedł do znajomych. Obawiałam się, że niebawem i Estera mnie porzuci na pastwę towarzyskiego niebytu.

I stało się! W końcu i moja siostrzyczka mnie opuściła. A to na rzecz tajemniczej sprawy, którą chciała omówić z nią jej przyjaciółka. Ja bym jej tak nie nazwała, ale Estera bardzo ufała Annie Lipskiej, która była dwa lata od niej starsza. Niestety nie miałam wpływu na to, jakie towarzystwo wybiera moja siostra.

- Wybacz, zaraz wracam! - rzekła do mnie i poszła sobie. No, to pozostało mi robienie dobrej miny do złej gry. Bałam się, że ktoś zobaczy mój wstyd - zostałam sama jak ten palec, nikt się mną nie interesował. A już najmniej pan Robert, jak mi się wtedy zdawało. Zatem podeszłam do sytuacji z isticie aktorską precyzją - uśmiech na twarz, wachlarzyk do ręki i... Zająłam miejsce tuż obok kominka, na uboczu, aby nie zwracać na siebie przesadnie uwagi. W końcu przecież któraś z sióstr musiała przyjść mi z pomocą! Zatem czekałam, czekałam... Ale czas mijał, a ja nadal byłam sama.

Nie mogłam podejść do Joanny, która właśnie rozmawiała z jednym z kawalerów z miasta. Mogłabym jej niechcący przeszkodzić w rozmowie i odciągnąć uwagę tego potencjalnego adoratora od niej, a tego nie chciałam jej zrobić. Joanna zawsze narzekała, gdy rozmawiając z mężczyzną, musiała się dzielić ze mną jego uwagą. Zatem nie miałam zamiaru podejść do siostry. Papa uciął sobie pogawędkę z sąsiadem. Próbowałam jakoś oswoić się z tym miejscem i starałam się udawać, że to, iż siedzę zupełnie sama pośród rozmawiających z sobą gości, nie sprawia mi trudności czy przykrości. Zaczęłam rozglądać się po wnętrzu domu.

Jasne ściany zakryte były gdzieś obrazami przedstawiającymi pejzaże o bardzo przedawnionej manierze, zupełnie niepasującej do opisów dzieł Maneta czy Renoira. Jeden ozdobny, pozłacany zegar z

kurantem, dekoracyjna porcelana malowana w kwiatowe wzory, ustawiona w przeszklonej witrynie, miękkie, tapicerowane meble... Było mi coraz bardziej głupio, że tak siedzę samotnie i nikt, zupełnie nikt na mnie nie zwraca uwagi. Salon był obszerny i mieścił około dwudziestu osób. Towarzystwo składało się w większości z młodych ludzi, poza moim tatą, rodzicami pana Roberta i sąsiadami, którzy przyszedli tutaj z swoimi dwiema córkami. Zatem sześciu kawalerów i proporcjonalnie tyle samo panien. Lecz żadnej pary dla mnie.

Poszukałam wzrokiem Estery, lecz ta była zajęta rozmową ze swoją przyjaciółką, zupełnie nie zwracały na mnie uwagi. Joanna natomiast, właśnie była przedstawiana jednemu ze znajomych Roberta Kwiatkowskiego. Ci kawalerowie z miasta stanowili grupkę interesujących osób. Cera Joasi była niemal szkarłatna z nadmiaru emocji, gdy mężczyzna przedstawił się jej i zaczął od razu konwersację. Wyglądał na najstarszego z kawalerów, miał nienaganną prezencję. Moje czujne ucho wyłapało jego imię oraz nazwisko: Krystian Walawski.

Nagle ktoś usiadł naprzeciwko mnie i ze zdziwieniem odkryłam, że była to starsza pani, babka pana Roberta. Jej twarz zawsze była taka pogodna i uśmiechnięta, gdy widywałam ją w drugiej ławce, w kaplicy podczas nabożeństwa. Musiała być bardzo pobożna i pełna miłości.

- Co tam, Moja Złota? Siedzisz biedulko sama? - Ucisnęła moją dłoń tak silnie, że zdziwiłam się, że taka staruszczyzna może mieć w sobie aż tyle siły!

- Tak... to znaczy: Tak proszę pani, lecz nie nudzę się! - Uśmiechnęłam się z ulgą, że ktoś raczył odkryć, że jestem w tym pomieszczeniu obecna. - Podziwiam piękno tego salonu.

- Nie ma o czym mówić. - Machnęła ręką. - Lepiej przypomnij mi, duszyczko, jak się nazywasz? Wiem, że jesteś córką Teodora Jankowskiego i wnuczką świętej pamięci Konrada Jankowskiego.

- Na imię mi Wiktoria.

- Och, jak ślicznie! Pozwól Wiktorio, że przedstawię ci mojego wnuczka...

W tej chwili zjawił się przy nas pan Robert, a mnie z lekka okrył strach przed tym ideałem piękna i romantyzmu.

- Robercie, to panna Wiktoria Jankowska.

- My już się znamy babciu...

Kobiecina najwidoczniej nie dosłyszała słów wnuka, bo rzekła:

- To jest mój wnuk, Robert.

Młodzieniec, nie chciał się najwidoczniej więcej tłumaczyć, więc dla świętego spokoju ujął moją dłoń, schludnie owiniętą koronkową rękawiczką, i... tym razem ucałował ją. Spojrzał przy tym prosto w moje zalęknione, brązowe oczy. Niemal czułam, jak przeszywa mnie strzała Amora. Byłam kompletnie oszołomiona jego bliskością i dotykiem dłoni. A ten pocałunek...

- Robert Kwiatkowski. Proszę mów mi po imieniu, Wiktorio. - Jego głos oczarował mnie równie mocno, jak ledwie wyczuwalny na mojej dłoni dotyk jego palców czy samo spojrzenie jego czarnych oczu.

- No, to teraz duszyczko nie będziesz już sama! - rzekła ukontentowana starsza pani. Mocno ucisnęła moją dłoń, po czym wstała i pozostawiła miejsce dla swojego wnuka. Robert zajął miejsce babki. Wsparłszy się na poręcz fotela, zaczął tajemniczo mi się przyglądać. Uśmiechał się lekko, jakby chciał mnie ośmielić do rozmowy.

- Słyszałem o twoich talentach malarskich - rzekł w końcu, rozpoczynając konwersację. - Ponoć próbujesz naśladować Renoira i Maneta?

- Och, znam ich prace jedynie z opowiadań, z gazet... - zaczęłam tłumaczyć się ze swojej oczywistej niewiedzy na temat wyśnionych ideałów.

- Chciałabyś zobaczyć je na własne oczy?

- Tam? W Paryżu? - Wyprostowałam się podekscytowana. - Och, nie śmiem marzyć...

- Tak się składa, że wybieramy się z babcią do Paryża. Jeśli twój papa zgodzi się, mogłabyś pojechać razem z nami. W ramach nauki sztuki oczywiście! - W jego oczach pojawił się dziwny blask, który mnie onieśmielił. Odwróciłam wzrok, aby nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie robi na mnie jego osoba.

- To nie wypada - odparłam cichutko.

- Może siostra mogłaby ci towarzyszyć? - W tej chwili jego wzrok powędrował do Estery, która stała nieopodal i rozmawiała z nowopoznanymi kawalerami. Ja natomiast odnalazłam oczy Joanny, która wbijała we mnie spojrzenie ostre niczym sztylety. Och! Żeby wzrok mógł zabijać... nie żyłabym właśnie w tej chwili! Widać zależało jej na uwadze Roberta, a ja...

Postanowiłam szlachetnie, wbrew samej sobie, zrezygnować z moich romantycznych uniesień na rzecz starszej siostry.

- Mówisz o Joannie? - zapytałam.

- Nie, o Esterze.

- Nie wiem. Ona jest taka płocha... Joanna byłaby dla mnie lepszym towarzystwem. Jest starsza.

- Tak, o wiele starsza. - Uśmiechnął się niemal złośliwie, po czym wesoło zaproponował: - Chciałabyś zobaczyć jedną z kopii Renoira? Mam ją w teczce, w swoim pokoju. Kuzyn przysłał mi ją z Paryża całkiem niedawno temu. Po wystawieniu tych prac zrobiła się w świecie artystów niezła zawierucha. Krytykowano ich ostro, ale jak widać znaleźli oni również i swoich sprzymierzeńców.

- Tak, gdyby nie to zamieszanie, pewnie nigdy nie usłyszałam o impresjach...

- Zatem chodź! Ujrzysz je na własne oczy!

Nie czekał na moją zgodę, tylko wstał, podał mi ramię, po czym poprowadził przez salon wprost na korytarz. Zdążyłam jedynie wyłapać pytający, skierowany wprost na mnie, surowy wzrok ojca - który rozmawiał z babką Roberta - aby chwilę później znaleźć się na schodach, a następnie, o zgrozo, w pokoju kawalera!

- Wejdz, nie obawiaj się! Nie trzymam tutaj żadnej zjawy! He, he!

Wpuścił mnie do środka i pozostawił drzwi szeroko otwarte. Zbliżył się do biurka, otworzył teczkę, która - jakby specjalnie pozostawiona tutaj na tę właśnie okazję - prezentowała zawartość wyjątkowo dla mnie interesującą i kuszącą.

- Zbliż się, Wiktorio. - Wyciągnął do mnie dłoń i zachęcił, abym stanęła obok niego. Z drżeniem duszy podeszłam do niego i spojrzałam po raz pierwszy na dzieła, o których śniłam po nocach. Nic jednak nie zajmowało mnie w tej chwili tak bardzo, jak bliskość Roberta. Niemal stykał się ze mną swoim ciałem. Dzielili nas centymetry! Zaczęło wirować mi w głowie, serce zaczęło bić mocniej...

- Zobacz ten! - Przełożył kartkę i położył swoją dłoń blisko mojej, spoczywającej na blacie biurka. Później pochylił się w moim kierunku tak, że czułam jego oddech na swoim policzku.

- Tak... - szeptałam oszołomiona - niesamowity. - Gdy za sprawą jego czynu, nasze palce zetknęły się, zadrżałam ni to ze strachu, ni to z podniecenia.

- Wiktorio - wyszeptał nagle przy moim uchu. - Ty, jesteś niesamowita. Nie mam słów... Jesteś o wiele piękniejsza niż twoje siostry.

Zamknęłam oczy i zupełnie zapomniałam o dobrym wychowaniu, którego uczył mnie ojciec. W przeciągu zaledwie kilku minut złamałam aż trzy zakazy właściwego postępowania: sam na sam z kawalerem, dotyk i... Ujął moją dłoń - ledwie dotknął jej swoimi palcami - po czym równie delikatnie złożył na niej kolejny pocałunek. Gdyby nie barykada rękawiczki, pewnie poczułabym go jeszcze intensywniej. Westchnęłam, ujęta za serce.

- Mam nadzieję, że pozwolisz mi spędzić z tobą ten wieczór - rzekł cicho tuż przy moim uchu. Poczulałam jego gorący oddech na swojej skórze, co sprawiło mi subtelną przyjemność.

- Tak - niemal wyszeptałam. Dobrze mnie wyczuł, byłam nim oczarowana, a on mógł zrobić ze mną, co tylko chciał. Byłam gotowa złamać dla niego wszystkie zasady dobrego wychowania. Nie posunął się w swoich amorach dalej, ale podawszy mi ramię, poprowadził mnie bardzo wolno do salonu. Spojrzał przy tym kilkakrotnie na moją zaróżowioną twarz. Jego subtelne lecz odważne maniery ostatecznie rozbudziły we mnie płomień miłości.

Byłam dla niego najpiękniejsza, byłam niesamowita w jego oczach. Posługiwał mi, jakbym była damą a on moim służącym. Opowiadał o Paryżu i o jego cudownościach. Zakochałam się, kompletnie upiłam się miłością! Spełniły się moje marzenia, odnalazłam pokrewną duszę, mężczyznę, który chciał ze mną jeść śniadania w Paryżu, wzdychać nad moimi obrazami i... Tak, całować mnie!

- *Cheri*, a posłuchaj tego - szepnął do mnie, a później otwarłszy jeden z dramatów Szekspira, zaczął czytać, a zazdrosne uszy dam łowiły jego głos, smutne oczy dziewcząt szukały jego wzroku, lecz wszystko nadaremno.

*„Katusza to, nie łaska. Tu jest niebo,  
Gdzie Julia żyje; lada pies, kot, lada  
Mysz marna, lada nikczemne stworzenie  
Żyje tu w niebie, może na nią patrzeć,  
Tylko Romeo nie może.*

*Mdła mucha*

*Więcej ma mocy, więcej czci i szczęścia*

*Niżli Romeo; jej wolno dotykać*

*Białego cudu, drogiej ręki Julii*

*I nieśmiertelne z ust jej kraść zbawienie;*

*Z tych ust, co pełne westalczej skromności*

*Bez przerwy płoną i pocałowanie Grzechem być sądzą..."*

- Romeo i Julia - powiedziałam do siebie, a w moich wspomnieniach odżyła cała historia nieszczęśliwej miłości dwojga kochanków z Werony, których rodziny swoją nienawiścią doprowadziły do śmierci obojga. To była jedna z moich zmor: wyjść za mąż za mężczyznę, którego bym nie kochała. Wszak zmora ta czekała na każdą z dziewcząt tego świata. W moich romantycznych marzeniach łudziłam się, że mnie to nie spotka. Gdyby jednak moim mężem miał zostać ten, który siedział przede mną, rzecz miałaby się z gołą inaczej.

- Oby nie było nam dane tak cierpieć - szepnął smutno, gdy skończył czytać. Zamknął książkę, po czym skierował ku mnie swoje piękne oczy. Rysowało się w nich wzruszenie, jakieś tajemne, ukryte cierpienie. Czyżby obawiał się tego samego, co ja? - Kiedy znów się ujrzymy? Twój ojciec zbiera się do wyjścia - zaczął szeptać pospiesznie.

- Nie wiem - odparłam w panice.

- Ja o to zadbam. - Wstał i podał mi ramię, a potem po raz ostatni tego wieczora szepnął tak, abym tylko ja słyszała: - Nie będziemy jak ci nieszczęśnicy z Werony.

Pożegnałam się z towarzystwem, pożegnałam się z babką Roberta i z nim samym, będąc święcie przekonaną, że jestem niezaprzeczalnie obiektem jego westchnień miłosnych i jego niezmiernie głębokiej tęsknoty.

\*\*\*

- Joanno, wybacz mi - powiedziałam do siostry nazajutrz rano, gdy zasiedliśmy całą rodziną do śniadania w jadalni. Siostra od rana zdawała się mnie ignorować i traktować, jakbym była nic nieznaczącym przedmiotem zdobiącym otoczenie, choć siedziałam tuż obok niej. Nadęła swoje wargi, po czym spojrzała na mnie z pogardą. Później nachyliła się ku mnie i szepnęła wprost do mojego ucha, tak, aby nie usłyszeli tego tata, który siedział po mojej lewicy u szczytu stołu, Estera, która siedziała po jej prawicy i kręcąca się koło nas służąca, która podawała nam do stołu.

- Nie myśl sobie, że paniczyczkowie tacy, jak Robert Kwiatkowski, są wierni. Znam renomę tego młodzieńca i bynajmniej nie jestem nim zainteresowana. - Ta uwaga ukłuła mnie do żywego, lecz powstrzymałam się od komentarza. Na taką szczerłość było stać jedynie rodzoną siostrę. Lecz skąd wiedziała to wszystko o Robertcie?! Miałam ochotę natychmiast wypytać ją o wszystko, ale stało się coś niespodziewanego, co odciągnęło moją uwagę od tego kawalera i jego renomy. Nagle, zupełnie niespodziewanie Estera poderwała się z krzesła i wybiegła z jadalni.

- Co jej się stało?! - zapytałam ojca z pretensją. To jego kazania były zazwyczaj powodem jej łez. Papa oderwał wzrok od modlitewnika, z którym nie rozstawał się nawet podczas posiłków, po czym zdezorientowany odparł spokojnie:

- Nie wiem. - Spojrzał przez ramię za uciekinierką. - Zaczekajcie tutaj. - Powolnym ruchem papa wstał i udał się w ślad za Esterą.

- Joasiu, czy ty może wiesz, o co chodzi? - zapytałam siostrę.

Pokiwała głową na boki. Potem milczała dłuższą chwilę, spożywając posiłek. Mnie zupełnie odechciało się jeść. Zapatrzyłam się za to w kominek, gdzie rażno tańczył sobie ogień. To była chwila, aby jeszcze raz móc zapytać Joannę o Roberta. W zamian moje współczujące serce odwołało się do siostrzanych uczuć.

- A może Estera zakochała się nieszczęśliwie? - szepnęłam do niej, tak aby nie słyszała tego służąca dokładająca do kominka. Widziałam, że nadstawia ucha z ciekawością. Widać żywo interesowało ją życie wyższych sfer, i byłam pewna, że rozmawia na temat naszej rodziny ze swoimi kumoszkami ze wsi.

Joanna odetchnęła głęboko i odparła na głos, choć już w innym tonie niż uprzednio:

- Nic mi nie wiadomo na ten temat, Wiktorio - mówiła jakby zmartwiona. - Masz z nią lepsze relacje, w końcu dzieli was jedynie rok różnicy wieku. Porozmawiaj z nią - to ostatnie zabrzmiało jak prośba. O to samo poprosił mnie tata, który niczego się nie dowiedział od zamkniętej w sobie i wrażliwej dziewczyny.

Tuż po śniadaniu poszłam do Estery, lecz i przede mną nie chciała uchylić rąbka tajemnicy, którą skrywała przed całym światem. Zapukałam do jej pokoju i nacisnęłam klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Estero, wpuść mnie. To ja, Wiki!

Po dłuższej chwili usłyszałam jej kroki i trzask przekręcanego w zamku klucza. Uchyliła mi drzwi. Pierwsze co ujrzałam, to jej zapłakane, brązowe oczy. Oddaliła się od drzwi i powróciła do łóżka, na którym leżała, zanim do niej przyszłam. Pościel była zmięta, nierówna, jakby dopiero co na niej leżała. Zamknęłam za sobą drzwi i podeszłam ku niej. Siedziała biedulka na łóżku i ucierała łzy świeżutko krochmaloną, bielušką chusteczką. Na dziewczynę padało blade, poranne światło, które potęgowało atmosferę cichego cierpienia panującego w pokoju.

- Co ci jest siostrzyczko? - zapytałam i ukucnęłam przed nią, aby widzieć jej twarz. Nawet na mnie nie popatrzyła. Zerknęła tylko w okno znajdujące się na lewo, tuż za jej pulpitem do pisania. - Czy mogę ci jakoś pomóc? Przecież dobrze wiesz, że możesz na mnie liczyć? Nie ma takiej sprawy, której...

- Niepotrzebne są twoje słowa Wiktorio - odparła cicho i markotnie. Zerknęła na mnie jedynie przez moment.

- Jestem twoją przyjaciółką, Estero - wspomniałam na nastoletni czas, gdy byliśmy nierozłączne. Przecież Ester była ode mnie starsza tylko o rok. Zawsze bardzo dobrze się rozumiałyśmy. Odkąd jednak trzy lata temu zaczęła zadawać się z Anną, córką naszych znajomych, oddaliła się ode mnie, stała się bardziej skryta.

- Powiedz mi, a ja dochowam tajemnicy - rzekłam i serdecznie uścisnęłam jej dłoń. Ale ona była nieugięta. Zacisnęła usta i spuściła głowę. Po chwili nawet zamknęła oczy. - Nic tu po mnie. - Powstałam zrezygnowana. - Gdybyś jednak chciała... - nie dokończyłam, bo i po co. Siostra zamknęła się w sobie na dobre. Przykro tylko mi było, że jestem dla niej mniej ważna niż jakaś tam Anka Lipska.

Odwróciłam się od niej i powoli podeszłam do drzwi. Wtedy Estera niespodziewanie cicho rzekła:

- Jeszcze nie mogę wyjawić ci mojego sekretu. Ale obym zdecydowała się na to na tyle wcześniej, aby nikt z naszej rodziny na tym nie ucierpiał - po tych słowach położyła się na łóżku i skuliła w kłębek, nie bacząc na to, że jej śliczna sukienka, którą służąca prasowała dziś rano przez około pół godziny, zemnie się i będzie prezentowała się nieestetycznie. Pozostawiłam ją w jej cichym cierpieniu, niezdolna przeniknąć do jej myśli. Musiałam odpuścić. Wyszłam.

Słowa siostry zaniepokoiły mnie na tyle mocno, że udałam się na spacer do ogrodu. Tam zawsze raczyłam się pięknem natury, choć bez porównania piękniejsze były zapewne widoki Paryża w nocy, wypełnionego po brzegi milionami świateł, tętniącymi życiem ulicami, śpiewem i miłością... Przypomniałam sobie wtedy o Robercie i nie mogłam powstrzymać się od głośnego „ach”. Wsparta o szorstki i nierówny pień jabłoni, która dopiero co otworzyła swoje białe kwiaty, napełniając otoczenie cudownym, słodkim zapachem i dźwiękiem cichego bzyczenia uwijających się w pocie czoła przy zbieraniu nektaru pszczoł, przypominałam sobie ciepło jego rąk, bliskość oraz kolor oczu przepełnionych nieznanym mi blaskiem. Rzekłam cichutko:

- Och! Kochany, kiedyż się znowu zobaczymy?